Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Zlp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Poniedziałek 24 Września Nᴱᴿ 9. 1838 Roku.

CHARAKTERYSTYKA PODAŃ GMINNYCH.

PRZEZ J. K.

Są pewne charaktery ludzi, które częstém spotykaniem stały się wszystkim znajome i którym nawet język nadał osobne nazwiska, takim jest Don Kwichot hiszpański, Jacques Bonhomme i pan Prud'homme i pan Tranquille francuzcy, takim jest John Bull angielski, a u nas pan Zacłocki, Hawryłło s Połocka, Filip s Konopi i t. d. — Każda s tych osób mająca wyobrażać panujący jeden z narodowych charakterów, weszła w przysłowie i zwykle przystósowana bywa do żyjącéj swojéj kopii.— Trzeba więc wiedziéć co tą są za figury, aby je wszędzie rospoznać i zadeterminować, trzeba znać wszystkie ich przymioty, nałogi, słowem cały ich charakter moralny i fizyczny. — Zacznijmy od najstarszego — Filipa s Konopi. O niego kłócą się filologowie — jedni powiadają, że się nie w porę wyrwał s konopi, drudzy, że miał wieś Konopie i był sobie na sejmie czy sejmiku, gdzie się także wyrwał niestósownie.— Ale nam to rzecz obojętna — dość, że się wyrwał, bo to stanowi wszystko. — Z resztą znamy pana Filipa i całą jego familią i wiemy czego się trzymać. — Dawniéj Pan Filip nosił się po polsku s tatarska, miał długie wąsy konopiaste, rzemiénny pas, wygoloną głowę, był chudy, wysoki, bibuła niepośledni i gawędziarz nieumiarkowany.— Pan Filip lubił gości, lubił piękne kobiéty, którym bardzo niezgrabne prawił grzeczności — lubił wino, które pijąc zawsze na kontusz rozléwał, lubił kaszę jaglaną, którą sobie gębę parzył, lubił polowanie na którém zawsze był głodny, zmokły i zziębły, bo się niewczas wybiérał, lubił wszystko, a do niczego wziąść się nieumiał.— Kiedy był młody, sądzono z wielo-

mowności jego, że będzie wielkim mowcą, ale ta nadzieja prędko zgasła, bo wezwany na oratora, winszował raz pannie młodéj, któréj mąż był bez nosa i uszu, że sobie spokojnego temperamentu obrała męża, drugi raz na pogrzebie, chwalił ubogiego Kasztelanica, że był wzorem bogaczów. — Próbowali go ojcowie Jezuici, ale jak zobaczyli, że pan Filip zawsze o tém mówi, o czémby milczéć powinien, dali mu pokój. — Ożenił się więc, i z wielkiém jego podziwieniem, żona w dzién ślubu powiła mu syna. — Potém pomnożyła się jeszcze jego familia, i zaczął miéć dla wieku znaczenie pewne między sąsiadami. — Wprędce jednak wszyscy go odstąpili, bo się niewiedziéć jakim sposobem, bez najmniéjszéj złéj chęci, śmiertelnie zadarł z Wojewodą. — Został więc w domu i kontentując kilką łaskawszémi przyjaciółmi, siedział w Konopiach, zatrudniony swémi dziećmi. — Synów jego było dwunastu — i dla tego to dzisiaj, tak się familia ta nadzwyczajnie rozrosła, że już i drzewa jenealogicznego zrobić niepodobna. — Umarł stary pan Filip, w sam dzién, kiedy na niego spadła ogromna sukcessya. — Dzieci odziedziczyły, z małémi odmianami stósownémi do ducha czasu, cały jego charakter i wszystkie nieszczęścia; ale niemyślcie żeby odziedziczyły ów wielki spadły na nich majątek — rozwinął się process, dziedzice drugiéj linii zapłacili, pani Filipowa niémiała czém poprzéć sprawy i nic niedostała. Przysłali jéj tylko adwersarze stare krzesło, stary zégarek w szyldkretowéj kopercie i starego konia niby to wiérzchowca — na pamiątkę po stryju. — Tym sposobem liczna familia Filipów bez majątku siedziała długo w Konopiach, a potém rozbiegła się po kraju, po różnych stanach i kondycyach. — Znałem wielu Filipów dzisiejszych, wszyscy choć we frakach i bez wąsów i bez wygolonéj łysiny, tenże sam mają charakter, co ich protoplasta. — Dosyć trzpiotowaci i ciekawi, pojmują rzeczy prędko, ale w głowie ich liczne wiadomości, bez klassyfikacyi leżą jak groch s kapustą. W interessach nieumiejętni i nieśmieli, nieumieją dać sobie rady, chociaż bardzo dobrze wiedzą co potrzeba robić. Radzą wszystkim dobrze, a sobie naj-

gorzéj i niezawodną jest rzeczą, że długo wyrozumiawszy, jak sobie postąpić potrzeba, czy to skutkiem żywości, czy braku zastanowienia, czy szczególniéjszéj organizacyi, zrobią przeciwnie jak zrobić mieli. — Nieszczęście ściga ich we wszystkich stanach, we wszystkich położeniach życia w każdym wieku. Panny Filipówny, choć ładne, pełne życia i wesołości, zostają zawsze pannami, a wielu z nich zdarzały się gorsze jeszcze od tego przypadki, o których ze smutku i żalu mówić nawet nie chcę. — Jeżeli chcesz tylko poznać członka téj familii, uważaj bacznie, na następne znaki. — Kto mówi o weselu przy pannie opuszczonéj od mężczyzn i zwiedzionéj — To pan Filip. — Kto przy Doktorze, czyta komedye Moliera — To pan Filip. — Kto chwali artystę jakiego, przed drugim popisującym się w tymże samym przedmiocie, naprzykład Paganiniego przed Lipińskim, pannę Wołków przed Meyerową — To pan Filip. — Kto wlatuje z wesołą twarzą między smutnych — To pan Filip. — Kto się ubiéra jasno na pogrzéb, a czarno na ślub — To pan Filip. — Kto się pyta matki — Cóżto za brzydka panna? — To moja córka — odpowiadają mu — I to pan Filip. — Kto choruje na swoim weselu, serdecznego śmiéchu dostaje z rozpaczy i oślepnie zostawszy malarzem, ogłuchnie będąc muzykiem, straci rękę będąc bióralistą — To nieszczęśliwy Filip jakiś — niezawodnie! — Kto — i t. d. i t. d. i t. d. — S tych przykładów dość jasno poznać można panów Filipów, dodam tylko, że każden metr tańców kulawy i professor filozofii pijak, jest także niezawodnie, tego samego pochodzenia. — Bliziuténki kuzyn Filipów s Konopi, jest sławny ów nawigator pan Zabłocki, którego uboga familia błąka się po całym kraju. — Ci którzy pochodzą od niego, mają daleko mniéj zdolności od Filipów, mniéj jeszcze majątku, a więcéj zarozumienia. — Najśmiészniéjsze biorą imiona — Tertulianów, Agapitów, Fulgencyuszów, Apolinów i t. d. Wszelkiego rodzaju śmiészności i głupstwo należą do nich wyłącznie. — Familia ta uboga, trudni się tysiącznémi spekulacyami, na których naturalnie wychodzi jak ów pradziad wyszedł na sławnym swoim mydle.

— Jeden z nich skupuje zboże w największy głód i chowa go spodziéwając się jeszcze większego głodu i drożyzny, aż póki mu myszy i stęchlizna niedadzą do zrozumienia, że czas przedawać i tracić. — Niepoprawny stratą na zbożu nasz Tyburcy, kupuje obligi wszystkich bankrutów, potém spekuluje fasolą i grochem, siemieniem, nóżkami baraniemi, a nakoniec zazwyczaj wraca do instynktowego handlu świéc i mydła, który mu się udaje, tak jak reszta. — Umiéra zostawując dzieci jak maku, a pieniędzy jak na próbkę. — W charakterze jego panujące jest głupstwo i zarozumiałość, niesposobność do niczego, a chęci do wszystkiego. — Projekt handlu lodem między Chinami i Ameryką, o którym świéżo (przeszłego roku) czytaliśmy, jest niezawodnie konceptem s téj familii. — Pan Hawryłło s Połocka daleki kuzyn dwóch poprzednich, najgorzéj udarowany od natury bogaty, a głupi i kontent ze swojego głupstwa, jest ostatnim szczeblem, téj troistéj drabiny. Szlachcic to od dziadów i pradziadów. — Chodzi z wąsami, w kapocie, gada trochę s chłopska, woli wódkę od miodu, a miód od wina, a piwo od wody, nieumié czytać i niedba o nic. Szanuje księdza plebana, przypomina dawne czasy, płacze i pijany zasypia. Familia jego dzisiaj przezwała się Hreczkosiejami, ale jest jednak tą samą w prostéj linii. — Gruba niewiadomość i kalibrowe do wiełu głupstwo odznacza Hawryłłów, w mieście idąc przez ulicę śpiéwają, jedzą bułki i pokazują palcami, na wsi chodzą w płóciennéj lub bajowéj kapocie, kiedy im co mówią o książkach trzęsą głową — Szczególniéjszym jednak i niepojętym fenomenem dzieciom swoim uczyć się każą i radzi są, żeby niebyły zupełnie głupiuteńkie — ale starszy Pan Bóg, jak pan Hawryłło. — Rysy ich twarzy, bardzo przypominają niektóre pijane twarze Teniersa. — Z resztą wyznać potrzeba, że wszyscy są bardzo uczciwi ludzie, nabożni, rzetelni, a nadewszystko wesołego humoru. — Do tego zbioru gminnych obrazków, dodać należy pannę, którą Flondrą lub flonderką nazywają. — Niedaj Boże znać jéj nikomu! kochać — Broń Boże — ożenić się — za wszystkie skarby świata. Panna Flondra, umywa się raz

w tydzień, nosi suknię dłuższą o ćwierć łokcia od siebie i zbłoconą, trzewiki nowe a przydeptane, pończochy białe, ale powalane i całe w obwarzanki — Nie czesze się chyba na niedzielę, jé pieczyste palcami, uciéra nos serwetą, nosi gruszki w chustce od nosa, gryzie orzechy i daje kochankowi do zjedzenia, pluje na sam środek pokoju, mówi powoli i przeciągając, ziéwa széroko, czyta brudne tylko (to jest oczytane) książki i czeka męża do sześćdziesięciu lat życia, przeglądając się w zapstrzonym od much lustrze. — Ma 50,000 posagu — rzadko mniéj.

TOURVILLE I ANDRONIKA.

USTĘP Z DZIEJÓW FRANCUZKIÉJ MARYNARKI.

PRZEZ EUG. SUE.

...Pan de Bivonne, wydawszy potrzebne rozkazy dla zapobieżenia wszelkiemu nieszczęściu, wszedł do swojéj kajuty, gdzie ile mógł jak najwygodniéj wyciągnął swe nogi na poduszce. Oficerowie znajdujący się na statku *Capitane* i oczekujący na odpłynienie swoich szalup, niémogli się wstrzymać od śmiéchu, gdy pan de Bivonne, leżący niedbale w tyle kajuty, zapytał swego Stewarda, stojącego na wschodach kajuty, ażali jego limoniadę do lodu wstawił. «Wstawił, najłaskawszy panie!» odpowiedział tenże z uszanowaniem, wskazując na służącego, który stał przy wnijściu do kajuty, a teraz właśnie niósł obszérne ołowiane naczynie, kawałkiem bawełnianéj materyi okryte. W tém naczyniu znajdowała się karafka z ochłodzonym napojem, który jenerał zwykł był pijać w czasie obiadu, a najszczególniéj po obiedzie. Pan de Bivonne, postrzegłszy śmiéch oficerów, rzekł z ową drwiącą, spokojną niedbałością, która go zwykle charakteryzowała: «Jak mi Bóg miły! panie de Vancy, mnie się zdaje, że ci panicze śmieją się z méj puchowéj poduszki i z mego zimnego likworu, który pijam! Szczęściem, że na drwiny tych panów mam pewne lékarstwo, podobnie jak owo zwiérze — niewiém, jak się ono nazywa, które obok trucizny, ma zarazem i lékarstwo na truciznę... Przysięgam na Lukulla! byłoby to nierozsądkiem odmawiać sobie wygody dla tego, że człowiek jest wojownikiem. Osobliwsza logika jak mnie Bóg miły! Nie-

chcecież może dla tego ani jeść, ani pić dzisiaj, że jutro ciérpiéć głód i pragnienie będziecie musieli, albo dla tego, żeście może wczoraj ani jedli, ani pili? Dla czegóż na drodze sławy mamy się biédzić po czartowsku, gdy ją z największą wygodą w lektyce przebyć możemy? Czyliż zwycięztwa Lukułla nad Mitrydatem odniesione, mniéj były zaszczytne lub mniéj ważne dla Rzymu, że Lukull jadał wieczerzę? Jak sądzisz panie de Vaney?» — De Vaney, człowiek ograniczonego rozumu, i zwyczajny cel szyderstw pana de Bivonne, udając, jak gdyby zrozumiał to nieco wyszukane porównanie klasyczne, odrzekł: «Zapewne, że nie jenerale, i szkoda wielka, że kawalera Tourville niéma teraz na okręcie naszym; pan jenerał pewniebyś go z jego dziwactw uléczył; kawaler ten, jak powiadają, ma być tak surowym w zarządzie swego okrętu, iż każdy oficer jednym tylko służącym obchodzić się musi. A to jeszcze nie wszystko! Czyliż on nieprzywłaszczył sobie holenderskiego, przesadzonego zwyczaju, i niekaże codziénnie myć i szurować pokładu swéj fregaty, jak gdybyto pałacowa posadzka była?» — «To prawda, mówią, iż na jego okręcie nadzwyczajna czystość panuje.» — «A do tego dziwactwa i to jeszcze przydać należy, że kawaler de Tourville bardzo śmiészno się ubiéra; jakże on niewygląda s témi karmazynowémi bufami! Dla tego ja zawsze swoje mówię, że on jest po męzku ubraną kobiétą!» — » On... kobiétą!... On? Androniki wdzięko-urokliwéj, kochanek tajno-tęskliwy!... No, patrzcież, przysięgam na Apolina, mimo woli wiérsz ulałem! Tak, w saméj rzeczy! Androniki wdzięko-urokliwéj, kochanek tajno-tęskliwy! Na honor! Napiszę do Rasyna list wiérszem, i od tych słów zacznę: Androniki wdzięko-urokliwéj, kochanek tajno-tęskliwy!» — «Ależ, najłaskawszy panie, chciéj mi powiedziéć, co to jest za jedna ta Andronika wdzięko-urokliwa?» — «Ah! to jest ciekawa historya, a przytém bardzo smutna historya! Ale co do tego seladona s karmazynowémi bufami, trzeba ci wiedziéć, że on wcale nie jest kobiétą i że rąbie djabelsko, a do tego już od bardzo dawna. Jak mi

Bóg miły! Lat temu będzie dziesięć, jak objéżdżał morze Śródziemne; zaczął on jako ochotnik na pokładzie fregaty, którą Hocquincourt w Marsylii na pognębienie pohańców zbudował. Wiadomość tę o kawalerze de Tourville mam od jednego starego, ale jak skała twardego żeglarza, s którym krążyłem raz pod Algierem, gdzie był jednego palnego statku kapitanem i stérnikiem. Byłto prawdziwy pohaniec, szatan z siwą głową, który pomimo, że miał lat sześćdziesiąt z okładem, grał, klął i rąbał po diabelsku! Tym starym hultajem był Cruvillier poczciwy.» — «Jako? ten sławny korsarz Cruvillier? I ty najłaskawszy panie widziałeś na własne oczy tego nieustraszonego korsarza?» — «A jużci, jak mi Bóg miły! Ty, jak widzę dziwisz się temu!... Działo się to podczas mojéj morskiéj wyprawy, gdym krążył pod Algierem. Od tego korsarza, jak powiadam, powziąłem dokładną wiadomość o piérwszéj wyprawie morskiéj kawalera de Tourville. Stary, poczciwy Cruvillier służył wtedy za majtka u Hocquincourta, i w tym roku właśnie parzyli djabelsko Turków. Byłoto, ile sobie przypomnieć mogę w roku 1658 albo 1659, jakoż wyznać potrzeba, iż to było niezmiernie dziwno, że ten biały i smukły kawaler, niémający więcéj nad szesnaście lub lat siedmnaście, szukając przygód, a z nich sławy, wszedł pomiędzy lewanckich, barczystych korsarzy, którzy, jak djabły, czarni byli. Stary, poczciwy Cruvillier powiadał mi, iż w owym dniu gdy kawaler de Tourville zaciągnął się do służby, on właśnie wtedy znajdował się na pokładzie fregaty Hocquincourta, który go dla porady jakiéjś, był do siebie zaprosił. Stary pohaniec Cruvillier, jakem już nadmiénił, był rozpustnym i jak djabeł bezwstydnym. Skoro ujrzał niebieskie oko, rumiane lice i mchem nieporosłą, gładką brodę tego młodego kawalera już na głos zawołał, że pan de Tourville nie jest mężczyzną, ale dziewczyną, którą Hocquincourt wziął na pokład swego okrętu. Stary grzésznik ten, niezastanowiwszy się bynajmniéj, nad tém co mówił, zaczął używać do niego najnieprzyzwoitszych wyrazów, mówiąc iż wcale nieprzystoi dziewczynie ubiérać się po męzku.

Ale Tourville nic nieodrzekł, tylko odstąpiwszy na krok jeden w tył, taki mu tęgi wyciął policzek, że ciemno-ceglaste lice korsarza, jakby ściana zbladło. Hocquincourt, który się s początku na głos roześmiał, pospieszył ich uspokoić, lecz już było za poźno. Tourville, dla udowodnienia, że niejest córką Ewy, porwał w rękę szpadę; stary, poczciwy Cruvillier niemniéj był rozgniéwanym, klął jak barbarzyniec, i przysięgał na niebo i piekło, że wszystko, co mu w drodze stanie, popłata na szczęty i na miazgę stłucze. Obadwaj postanowili wysiąść na ląd i natychmiast szpadami się rosprawić. I tak się stało. Cruvillier był jednym z owych dawnych niebezpiecznych szermierzy, wyćwiczonych w szkole weneckiéj; Tourville się popisywał w różnym rodzaju zapaśnictwa w akademii Renoncourt. Stanęli do rosprawy. Szpady się w krzyż złożyły, a po kilku śmiałych, przedziwnych z obu stron pchnięciach, szkoła wenecka od akademii Renonkurckiéj wzięła tak głęboką ranę, że krew strumieniem trysnęła; co ujrzawszy młoda akademija, w głos się rozpłakała; byłoto bowiém po raz piérwszy, że krew płynąca widziała. Stary, poczciwy Cruvillier niegniéwał się przezto na niego bynajmniéj, i owszém, od tego dnia był jego najszczérszym przyjacielem i zawsze nazywał go piękną blondyną przy szpadzie.

(DALSZY CIĄG NASTĄPI.)

—ooooooo—

DOWÓD MIŁOŚCI
MACIERZYŃSKIÉJ
NAWET POMIĘDZY PTASTWEM.

O pół mili od Krakowa w polu wzięto gniazdo jaj kuropatwy, i przyniesiono je do dworu, gospodarz osadził na nich kure, która wychodowała kilka małych piskląt; po niejakim czasie przybyła do tegóż dworu kuropatwa prawdziwa matka tych przysposobionych wychowańców, oddaliła wszelką trwogę właściwą dzikiemu ptastwu, nielękała się ludzi, poznała swoje dzieci i obok kury towarzyszyła im nieodstępnie. Gospodarz zniewolony tą miłością macierzyńską, matkę z dziećmi puścił na wolność odesławszy je w miejsce w którém się pierwéj znajdowały.

W KRAKOWIE, CZCIONKAMI JÓZEFA CZECHA.